

LIZ MOORE

BÓG
LASÓW

TŁUMACZENIE MATEUSZ BOROWSKI


OTWARTE
KRAKÓW 2025

Tytuł oryginału: *The God of the Woods*

Copyright © 2024 by Liz Moore, Inc.
By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2025

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Opieka wydawnicza: Alicja Konieczka

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Mapa na s. ...: © 2024 by Liz Moore, Inc.

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Promocja i marketing:

Projekt okładki:

Adaptacja okładki na potrzeby wydania:

Fotografia na okładce:

Fotografia autorki:

ISBN 978-83-8135-474-5

To dzieło fikcyjne. Imiona, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki albo zostały użyte fikcyjnie, a wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób żywych lub martwych, firm, wydarzeń czy miejsc jest całkowicie przypadkowe.

*Dla mojej siostry, Rebekki,
która też zna te lasy*



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

SPIS TREŚCI

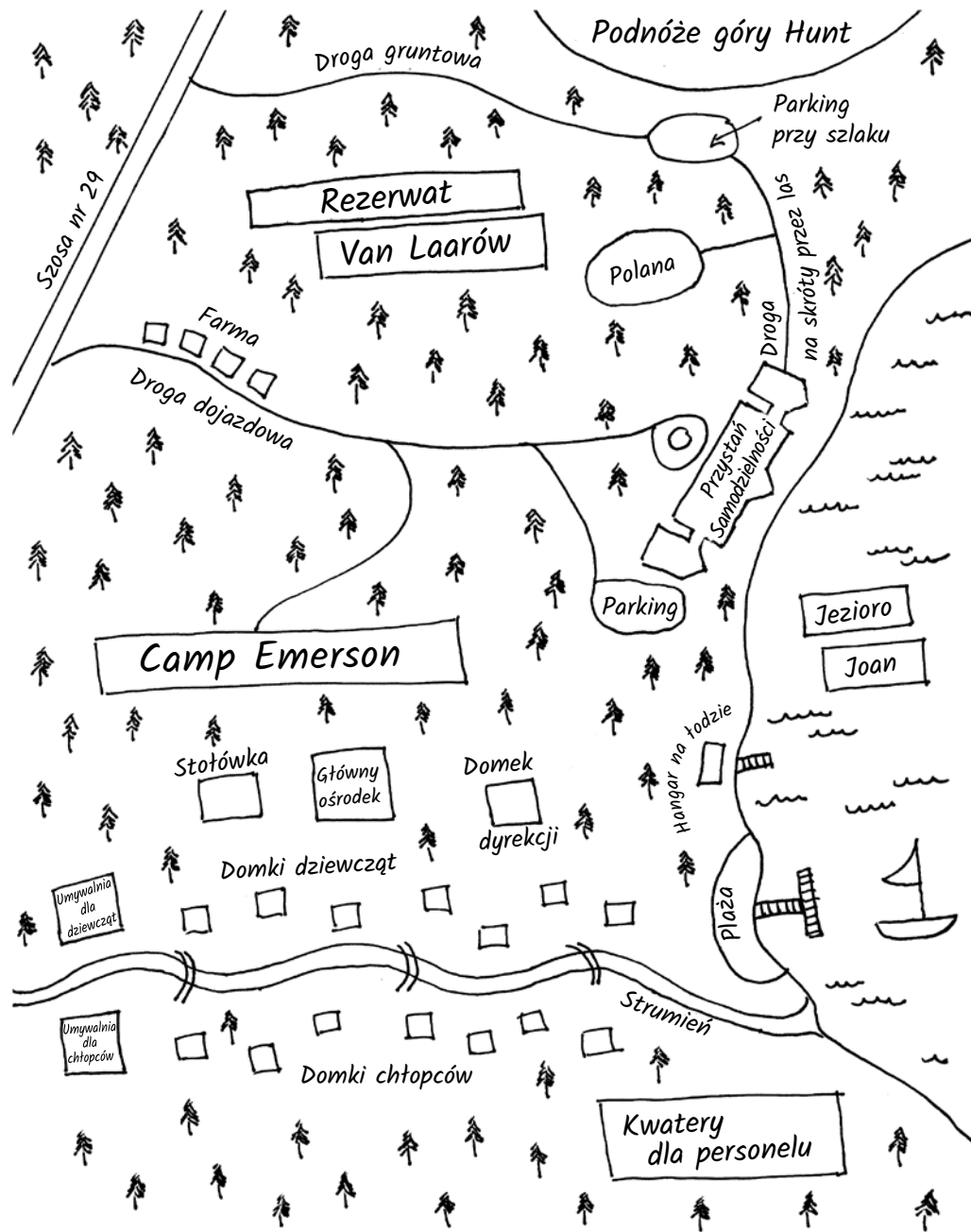
I	Barbara	13
II	Miś	95
III	Gdy się zgubisz	157
IV	Goście	223
V	Znaleziona	253
VI	Przetrwanie	315
VII	Samodzielność	413
	Podziękowania	525

„Niejeden wędrowiec, dotarłszy do tych lasów,
nie spodziewa się niebezpieczeństw, które, jak się
powiada, czyhają na tego, kto zapuści się w nie sam,
by oddać się swej ulubionej rozrywce. Może jednak
być pewien, iż naprawdę grozi mu niebezpieczeństwo –
niebezpieczeństwo pobłądzenia. Tylko tego należy się
bać w lesie Adirondack!”

*Lost in the Andirondacks. Warning to Visitors to the North
Woods, What Not to Do When You Lose Your Way and How Not
to Lose It, „The New York Times”, 16 marca 1890*

„Jakże niewiele, pomyślałam,
dzieli w dziczy niebezpieczeństwo od piękna.
To dwie strony tego samego medalu”.

Anne LaBastille, *Woodswoman*



I

BARBARA

LOUISE

Sierpień 1975

Łóżko jest puste.

Louise, wychowawczyni – dwadzieścia dwa lata, niewysoka, z chrypką, rozbawiona – stoi boso na ciepłych szorstkich deskach w domku o nazwie Jodła i stwierdza, że na dolnym łóżku przy drzwiach nikt nie leży. Później dziesięć sekund dzielące to spostrzeżenie od konkluzji potraktuje jako dowód na to, że czas to ludzki konstrukt, że zwalnia i przyspiesza pod wpływem emocji i związków chemicznych w krwiobiegu.

Łóżko jest puste.

Jedyna w domku latarka, której brak nawet za dnia wskazuje na to, że obozowicze poszli do latryny, leży na swoim miejscu – na półce przy drzwiach.

Louise obraca się powoli, wymieniając w myślach imiona dziewcząt, na które patrzy.

Melissa. Melissa. Jennifer. Michelle. Amy. Caroline. Tracy. Kim. Osiem obozowiczek. Dziewięć łóżek. Liczy jeszcze dwa razy. W końcu, kiedy już nie może tego odraczać, pozwala, by powróciło do niej jeszcze jedno imię: B a r b a r a.

Puste łóżko należy do Barbary.

Louise zamyka oczy. Wyobraża sobie, że przez resztę życia będzie wracać do tego momentu, samotnie podróżować w czasie i jak duch nawiedzać domek o nazwie Jodła, przywołując ciało, które się nie pojawi. Wzywając tę dziewczynę, Barbarę, by stanęła w drzwiach. By powiedziała, że była w umywalni i zapomniała o regule nakazującej zabieranie latarki, by przeprosiła tak rozbrajająco, jak zawsze.

Ale Louise wie, że Barbara tego nie zrobi. Coś jej mówi, że dziewczyny nie ma.

Akurat ona, myśli Louise. Z wszystkich obozowiczów akurat ona musiała zniknąć.

Dwadzieścia pięć po szóstej Louise przechodzi przez zasłoniętą kantorkę, który dzieli z Annabel, wychowawczynią na stażu. To siedemnastoletnia baletnica z Chevy Chase w stanie Maryland. Annabel Southworth jest ledwie kilka lat starsza do swoich podopiecznych, ale zadziera nosa, nie szczędzi im ironicznych uwag i na każdym kroku upewnia się, że wszyscy respektują wyraźną granicę między trzynastym i siedemnastym rokiem życia – granicę, którą podkreśla przepierzenie ze sklejki między główną częścią chatki i kątem dla wychowawczyń.

Teraz Louise potrząsa nią, by ją obudzić. Annabel mruży oczy. Dramatycznie zasłania je ramieniem. Osuwa się w sen.

Louise wyczuwa zapach przetrawionego piwa. Wydawało jej się, że wydziela go jej ciało przez skórę i usta. Z pewnością zeszłej nocy wypięła dość, by rano poczuć efekt. Ale kiedy staje nad Annabel, zastanawia się, czy to nie od stażystki bije ta woń.

To zły znak.

– A n n a b e l – szepcze Louise.

Słyszysz, że odezwała się tonem własnej matki. W pewnej mierze czuje się jak ona – osoba zła i nieodpowiedzialna – w relacji z tą dziewczyną.

Annabel otwiera oczy. Siada i natychmiast się krzywi. Gdy napotyka wzrok Louise, otwiera szeroko oczy i błednie.

– Niedobrze mi – mówi za głośno.

Louise ją ucisza i chwytą pierwsze, co ma pod ręką – leżące na podłodze opakowanie po chipsach.

Annabel nachyla się nad torebką. Wymiotuje. Podnosi głowę, cicho dysząc i pojękując.

– Annabel, masz kaca? – pyta Louise.

Dziewczyna kręci głową. Jest przerażona.

– Chyba... – zaczyna, ale Louise znowu ją ucisza, siadając na jej łóżku i licząc w myślach do pięciu. W ten sposób od dzieciństwa ćwiczy się w niereagowaniu.

Annabel drży podbródek.

– Chyba się zatrulałam – szepcze.

– Balowałaś wczoraj wieczorem? – pyta Louise. – Annabel?

Dziewczyna jej się przygląda. Kalkuluje.

– To ważne – dodaje Louise.

Zazwyczaj ma cierpliwość do praktykantek. Wielu z nich towarzyszyla podczas pierwszego kaca. Przymyka oko, gdy zaszaleją w wolny wieczór. Sama lubi dobrą zabawę w odpowiednich okolicznościach. Z reguły jednak rządzi twardą ręką. Tego lata pierwszej wychowawczyni, która zasnęła po całonocnej balandze, zabroniła udziału w kilku kolejnych imprezach, a pokazówka ta sprawiła, że nikt nie powtórzył jej błędu.

Aż do teraz. Bo zeszłej nocy pod nieobecność Louise to Annabel miała dyżurować. I najwyraźniej się nie spisała.

Louise zamyka oczy. Wraca pamięcią do wydarzeń poprzedniego wieczoru.

W świetlicy odbywała się dyskoteka z okazji zamknięcia sezonu z udziałem wszystkich obozowiczów, wychowawców i stażystów. Louise przypomina sobie, że w pewnym momencie zdała sobie sprawę z nieobecności Annabel, a przynajmniej nigdzie

jej nie widziała, choć była pewna, że dziewczyna wróciła przed końcem imprezy.

Bo o jedenastej wieczorem, gdy Louise szybko policzyła zgromadzonych, Annabel wraz z ich dziewięcioma – tak, dziewięcioma – podopiecznymi radośnie pomachała jej na dobranoc. Wciąż ma je przed oczami, jak odwrócone do niej tyłem w grupkach wracają do Jodły.

Wtedy po raz ostatni je widziała. Była pewna, że Annabel trzyma nad nimi pieczę, dlatego się oddaliła.

Potem przywołuje w pamięci obraz łóżek w chatce, gdy weszła do niej na palcach nad ranem, długo po rozpoczęciu ciszy nocnej. Która mogła być godzina? Druga w nocy? Trzecia? Powracają do niej strzępy obrazów: otwarte usta Melissy R., dotykająca podłogi ręka Amy. Ale w jej wspomnieniach nie ma Barbary. Ani jej nieobecności.

Wraca do niej inny moment: John Paul na polanie rzuca się z pięściami najpierw na nią, potem na Lee Towsona. John Paul, który podchodzi do walki jak typowy bogaty dzieciak, unosi pięści, jakby wchodził na ring. Lee, zaciętrzewiony i rozjuszony, wciąż ma na sobie fartuch, w którym podawał kolację. Raz-dwa rozprawia się z Johnem Paulem, który pada na ziemię z nieobecnym wzrokiem wlepionym w gałęzie nad swoją głową.

Dziś będą kłopoty. Zawsze tak jest, gdy John Paul podejrzewa ją o niewierność.

Żeby było jasne: tym razem go nie zdradziła.

Annabel podnosi się, by zaczerpnąć powietrza. Zasłania oczy dłonią.

– Wiesz, gdzie jest Barbara? – pyta ją Louise.

Nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Za chwilę dziewczyny w sąsiednim pomieszczeniu zaczną się budzić.

Annabel wygląda na zdezorientowaną.

– Van Laar – dodaje Louise, a potem powtarza to ciszej. – Ta z naszego domku.

– Nie – odpowiada Annabel i opada z powrotem na łóżko.

Oczywiście właśnie wtedy z głośników rozwieszonych na drzewach na terenie całego obozu płynie hejnał, a to oznacza, że za ścianką z dykty osiem dwunasto- i trzynastolatek budzi się z ociąganiem, wydając ciche odgłosy, posapując, wzdychając i podpie-rając się na łokciach.

Louise zaczyna nerwowo chodzić z kąta w kąt.

Annabel, wciąż leżąc, przygląda jej się i nagle dociera do niej, co się stało.

– Annabel – mówi Louise. – Musisz być ze mną szczerą. Wyszłaś jeszcze raz, gdy dziewczyny już leżały w łóżkach?

Annabel wygląda, jakby zaparło jej dech w piersi. Wypuszcza powietrze z płuc. Przytakuje. Louise zauważa, że dziewczynie do oczu napływają łzy.

– Tak – przyznaje się.

W jej głosie słychać dziecięce drżenie. Do tej pory rzadko pakowała się w tarapaty. Tego Louise jest pewna. Annabel należy do tych, których od dziecka utwierdzano w przekonaniu, że są wyjątkowi. Dlatego tak uszczęśliwia innych. Już beczy, a Louise powstrzymuje się, by nie przewrócić oczami. Czego ta dziewczyna się boi? Nic jej nie grozi. Ma siedemnaście lat. Najwyżej ją zwolnią i odeślą do domu na wzgórze, do rodziców, którzy notabene przyjaźnią się z właścicielami obozu. I którzy właśnie goszczą w ich posiadłości. Natomiast najgorsze, co mogłoby spotkać Louise, osobę do r o s ł ą, jak z wyrzutem przypomina sobie samej, to... no cóż. Nie wybiegaj za daleko w przyszłość, mów sobie. Najważniejsze jest to, co tu i teraz.

Louise podchodzi do zasłony. Lekko ją rozchyła. W tym samym momencie zauważa ją Tracy, która śpi nad Barbarą. Ta spokojna dziewczyna, schodząc z górnego łóżka, zatrzymała się na drabince i najwyraźniej zauważyła problem.

Louise zasuwa zasłonę.

– Zaginęła? – pyta Annabel.

Louise znów ją ucisza.

– Nie mów „zaginęła” – upomina ją. – Mów, że nie ma jej w łóżku.

Louise rozgląda się po kantorku, szukając dowodów ich nocnych poczynań. To, co znajduje, chowa do papierowej torby: butelkę po piwie wypitym w drodze powrotnej z polany, niedopałek jointa, którego w pewnym momencie zajarzała, i pełne wymiocin opakowanie po chipsach, które ścisła w dwóch palcach.

– Jest tu jeszcze coś, co nie powinno wpaść w niepowołane ręce? – pyta, a Annabel kręci głową.

Louise zamyka torbę i zawija ją, by łatwiej było ją chwycić.

– Posłuchaj mnie – mówi. – Niewykluczone, że będziesz dzisiaj czuwała nad dziewczynami. Jeszcze nie jestem pewna. W takim wypadku pozbadź się tego. Wrzuć to do kontenera na śmieci w drodze na śniadanie. To musi zniknąć. Zrobisz to?

Annabel, wciąż zielona, kiwa głową.

– Póki co – kontynuuje Louise – zostań tu. Nie wychodź przez chwilę. I nie... – zawieszają głos, szukając słów, które zabrzmiały poważnie, ale nie rzucą na nią cienia podejrzeń. W końcu rozmawia z dzieckiem. – Po prostu nie opowiadaj nikomu o wczorajszej nocy. Muszę przemyśleć parę spraw.

Annabel milczy.

– Okej? – pyta Louise.

– Okej.

Pęknie natychmiast, myśli Louise. Bez wahania powie każdemu przełożonemu, co się wydarzyło, i wyjawia wszystko, co wie. Wypłacze się w ramionach matki i ojca, którzy pewnie nie rozumieli wiersza, na którego cześć dali jej to imię, a ona, rozgrzeszona przez nich, wróci na lekcje baletu, w przyszłym roku po maturze dostanie się do Vassar, Radcliffe albo Wellesley, a potem wyjdzie za chłopaka wybranego dla niej przez rodziców – już się zwierzyła Louise, że mają kogoś na oku – i nigdy więcej nie pomyśli o Louise Donnadiu ani losie, który ją spotka, ani o kłopotach,

jakie będzie miała przez resztę życia, próbując znaleźć posadę, wynająć mieszkanie i pomóc matce, która od siedmiu lat nie może albo nie chce pracować. I wesprzeć braciszka, który w wieku jedenastu lat nie zrobił nic, czym zasłużyłby sobie na swój los.

Annabel znów zbiera się na wymioty. Uduje jej się je powstrzymać.

Louise kładzie dłonie na biodrach. Oddycha głęboko. Uspokój się, mówi sobie.

Prostuje plecy. Zaciąga zasłonę. Przełknąwszy gorzką pigułkę wstydu, przygotowuje się do udawania zaskoczonej przed grupką dziewcząt, które liczą się z jej zdaniem, podziwiają ją, często przechodzą do niej po radę i wsparcie.

Wchodzi do ich sali. Toczy wzrokiem po łózkach. Z udawanym zdumieniem marszczy brwi.

– Gdzie Barbara? – pyta jakby nigdy nic.

TRACY

Dwa miesiące wcześniej
Czerwiec 1975

Po przyjeździe obozowiczom zakomunikowano trzy zasady.

Pierwsza dotyczyła spożywania i przechowywania jedzenia w domkach (byle nie naśmiecić).

Druga miała związek z pływaniem, czynnością, której w żadnym razie nie wolno było wykonywać w pojedynkę.

Trzecia, najważniejsza, o czym świadczyło to, że widniała w wielu współdzielonych przestrzeniach, zapisana drukowanymi literami, brzmiała: „GDY SIĘ ZGUBISZ, USIĄDŹ I KRZYCZ”.

Wtedy nakaz ten wydał się Tracy nieomal komiczny. Powtórzono go jeszcze wieczorem, podczas powitalnego ogniska, kiedy to wyjaśniono jego sens. Ale gdy wysoki wychowawca przekazał im go w tamtej chwili bez ogródek, zwięźle, bez pauz ani cienia emocji, Tracy musiała odwrócić wzrok i stłumić nerwowo śmiech. „GDY SIĘ ZGUBISZ, USIĄDŹ I KRZYCZ”. Próbowała sobie to wyobrazić. Siada tam, gdzie się znajduje. Otwiera usta. Krzyczy. Zastanawiała się, jaki wydobyłaby z siebie głos. Jakie słowa? „Pomocy”? „Na pomoc”? Wszystko, tylko nie: „Proszę mnie znaleźć”. Na samą myśl o tym robiło jej się wstyd.

Ojciec zapłacił jej za udział.

Oto, co ją przekonało po tygodniu negocjacji, które zakończyły się trwającym cały weekend impasem w jej pokoju: sto dolarów w gotówce, z czego połowa miała czekać na nią po powrocie.

Jej pomysł na spędzenie lata był prosty: zamierzała przesiedzieć je ciurkiem w salonie wiktoriańskiego domu w Saratoga Springs, wynajmowanego przez jej rodzinę w sezonie wyścigów od dziesięciu lat. Chciała opuścić rolety do połowy, otworzyć okna do połowy, skierować wszystkie wentylatory w swoją stronę, położyć się na kanapie i wstawać tylko po to, by przygotować sobie wymyślne przekąski. I czytać. To było najważniejsze.

Tak spędziła pięć sezonów wakacyjnych z rzędu. Miała nadzieję, że lato 1975 roku będzie wyglądać tak samo.

Tymczasem ojciec – od niecałego roku rozwiedziony z matką – szybko znalazł sobie nową dziewczynę, wynajął ładniejszy dom i uznał, że Tracy nie powinna beczynnie przeleżeć całych wakacji. Tak przynajmniej jej powiedział, gdy w połowie czerwca odebrał ją z domu matki na Long Island. (Trudno było nie zauważyć, że z ujawnieniem planu zaczekał, aż przekroczą połowę drogi do Saratoga Springs). Tracy uważała, że tak naprawdę chciał mieć ją z głowy na dwa miesiące, żeby z wyżej wymienioną dziewczyną mieli dla siebie dom bez płatającej się po nogami naburmuszonej dwunastolatki. Tracy zastanawiała się, po co tak walczył o opiekę nad nią przez całe wakacje, skoro zamierzał natychmiast ją odesłać.

Nawet się nie pofatygował, żeby odwiedzić ją do Camp Emerson. Zlecił to zadanie Donnie Romano, którą Tracy uparcie nazywała pełnym imieniem i nazwiskiem.

– Dziś jest wyścig – odparł ojciec, gdy dopadła go w holu, błagając, by im towarzyszył. – Muszę jechać do Belmont. O drugiej biegnie Dylemat.

Był synem dzokeja, który za bardzo urósł, by pójść w ślady ojca. Został jeźdźcem treningowym, trenerem, a w końcu właścicielem stadniny, zaś ich sytuacja życiowa zmieniała się, kiedy tylko dostawał nową posadę. Gdy urodziła się Tracy, gnieździł się w kamperze na podjeździe przed domem matki jej matki. Teraz mieszkali w nowym dużym domu ze srebrną bramą w Hempstead w stanie Nowy Jork. To znaczy Tracy mieszkała tam z matką.

– O czym mamy rozmawiać? – spytała, ale on, kręcąc głową, jedynie położył dłonie na jej ramionach. Nagle zorientowała się, że ich oczy są na tej samej wysokości. Ostatnio podrosła i miała prawie metr osiemdziesiąt, dlatego gdy tylko się nie poruszała, mocno się garbiła.

– Podobno to kława miejscówka. Naprawdę w dechę – zapewnił ją ojciec, używając tych samych żenujących określeń co wtedy, gdy po raz pierwszy przekazał jej tę wieść. – Na pewno ci się tam spodoba.

Odwróciła się do okna. Zobaczyła przez nie, że Donna Romano poprawia sobie stanik i przegląda się w szybie samochodu. To był nowy stutz blackhawk z włochatą wykładziną i silnikiem, którego warkot przypominał Tracy głos ojca. „Maszyna z najwyższej półki” – oznajmił, kiedy odbierał ją z Hempstead. Wyglądało na to, że w jego życiu wszystko było nowe. Wynajmowany dom, dziewczyna, mały pekińczyk i samochód. Tracy stanowiła jedyną starą rzecz w jego orbicie. A teraz postanowił się jej pozbyć.

Jak się okazało, Donna Romano paliła jednego za drugim. Między kolejnymi sztachami zadawała Tracy pytania o jej życie, najwyraźniej przygotowane specjalnie na tę podróż. Tracy, gdy na nie akurat nie odpowiadała, ukradkiem zerkała na Donnę Romano. Dziewczyna była bardzo ładna. W innych okolicznościach dogadałaby się z Tracy, która lubiła piękne kobiety. Uwielbiała najpopularniejsze dziewczyny w gimnazjum. A może nawet je ubóstwiała, choć zarazem jakaś jej część tak naprawdę nimi

gardziła. Jednocześnie ją fascynowały, być może dlatego, że fizycznie stanowiły jej przeciwieństwo i traktowała je jak okazy do drobiazgowego zbadania pod mikroskopem. Większość jej koleżanek z klasy miała długie proste włosy z przedziałkiem pośrodku, a Tracy – burzę niesfornych rudych loków. Ich piegi były delikatne, a jej tak wyraziste, że grupa szóstoklasistów przeżywała ją Połącz Kropki, w skrócie PeKa. Powinna nosić okulary. Jedynej posiadanej pary nigdy nie zakładała, przez co cały czas mrużyła oczy. Pewnego razu ojciec rzucił od niechcienia, że Tracy ma posturę śliwki na wykałacze, a sformułowanie to, zarazem okrutne i poetyckie, przylgnęło do niej na zawsze.

Asfaltowa droga przeszła w żwir i piach. Co kilka minut pojawiał się jakiś walący się dom, którego ogródek zamieniono w cmentarzysko dla pordzewiałych gruchotów. Ten niepokojący kontrast między pięknem natury i rozpadem spowodowanym przez człowieka sprawił, że Tracy zaczęła się zastanawiać, czy jadą we właściwym kierunku.

W końcu zobaczyły tablicę z napisem „Rezerwat Van Laarów”. W przysłanych im pocztą instrukcjach tam je właśnie skierowano.

– Ciekawe, dlaczego nie umieścili na tablicy nazwy obozu – zastanawiała się Donna Romano.

Może po to, żeby nie znaleźli go zбочeńcy, pomyślała Tracy. Wiedziała, że coś takiego powiedziałby jej ojciec. Wbrew sobie często słyszała jego głos niczym narratora komentującego każdy jej krok. Ten rok – pierwszy po rozwodzie – był najdłuższym okresem ich rozłąki.

Tak naprawdę, gdy była młodsza, podążała za nim jak cień, kochała go bezgranicznie, nie odstępowała na krok i na otwartej dłoni podtykała marchewki pod kosmate pyski jego ulubionych koni. Wolałaby umrzeć niż przyznać, że straszliwie za nim tęskni, i przez większą część roku szkolnego nie mogła doczekać się lata spędzonego z nim.

Bitą drogą dojazdowa się rozwidliła. Strzałka po prawej stronie kierowała je do „Camp Emerson, gdzie zawiera się przyjaźnie na całe życie”. Spomiędzy drzew wyjechały na trawiastą polanę z rzędem rustykalnych drewnianych domków. Przed nimi przy rozkładanym stoliku, z którego zwisał zawilgły karton z mało przekonującym napisem „Witamy”, stał wychowawca.

Podszedł do blackhawka i przez okno wręczył Donnie ulotkę. Następnie jak przykładowy herold oficjalnie wygłosił trzy zasady Camp Emerson, w tym tę ostatnią, najważniejszą, która dźwięczała Tracy w uszach przez wiele dni i tygodni. Przez całe życie.

„Kiedy się zgubisz, usiądź i krzycz”.

Tracy zastanawiała się, jak bardzo musiałyby się zgubić, by zdecydować się na takie wygłupy. Wydawało jej się, że od urodzenia jej głos systematycznie robił się coraz cichszy, a w wieku dwunastu lat ledwie było ją słuchać.

Totalnie, postanowiła w końcu. Musiałyby się zgubić całkowicie i nieodwracalnie.

– Będziesz mieszkać w Jodle – oznajmił chłopak, wrywając Tracy z zamyślenia.

Wyciągnął prawą rękę. Donna Romano nacisnęła pedał gazu i blackhawk ruszył naprzód.

ALICE

Czerwiec 1975

Wyjeżdżali ostatni rodzice.

Z oranżerii w domu na wzgórzu Alice obserwowała powolną paradę ich samochodów z włączonymi wycieraczkami.

Camp Emerson był oddalony o kilometr, ale rezydencję – zwaną Przystanią Samodzielności – zbudowano na wzniesieniu, z którego widać było całą okolicę: na wschodzie jezioro Joan, na zachodzie długą bitą drogę prowadzącą do głównej szosy wiodącej do miasta, na południu Camp Emerson, a na północy dzikie tereny. Górę Hunt i jej podnóże.

Stała tak od dwóch godzin. Naliczyła dziewięćdziesiąt jeden samochodów. W każdym z nich jechał jeden rodzic lub oboje, zostawiając tu jedno lub więcej dzieci.

Alice odbywała ten rytuał od dwudziestu trzech lat, czyli od ślubu z Peterem Van Laarem. Od kiedy miała osiemnaście lat, pierwszego dnia turnusu patrzyła przez okno przed Przystanią Samodzielności, czasem z dzieckiem na rękach, a czasem sama. Lubiła wyobrażać sobie rodziny w samochodach. Wymyślała im imiona i problemy.

W oddali zniknęło ostatnie auto. Alice wyprostowała plecy. Obejrzała się na zegar. Była szesnasta czterdzieści pięć. Rozpoczęła

codzienne odliczanie. O siedemnastej mogła zażyć pigułkę przepisaną przez doktora Lewisa na ukojenie nerwów. Zalecał jedną, ale „w gorsze dni” dwie by jej nie zaszkodziły. W ten sposób doktor Lewis nazywał dni, w których myślała o Misiu.

W takim razie dwie.

W korytarzu rozległo się stukanie mosiężnej kołatki o drzwi. Przyszła T.J.

Alice wyciągnęła z kieszeni fiolkę. O piętnaście minut za wcześniej zażyła dwie pigułki.

Zamknęła oczy, powtarzając w głowie to, co zamierzała powiedzieć.

„To Barbara. Chce wziąć udział w obozie”

Minęło pięć lat, od kiedy T.J. Hewitt objęła stanowisko dyrektorki Camp Emerson. Nie chciała go przyjąć. Uparcie powtarzała, że jej ojciec, Vic, może nadal pełnić funkcję, którą tak wspaniale sprawował od dziesięcioleci.

Jednak kiepskiej formy – najpierw fizycznej, potem psychicznej – nie dało się ignorować latem 1970 roku, kiedy jego szaleńcze okrzyki przeraziły nowo przybyłych uczestników obozu. Stało się to, co gorsza, w obecności rodziców. Oni zaś, oburzeni, przyszli do rezydencji na skargę. Peter natychmiast zwolnił Vica, zapewniając rodziców, że osobiście poprowadzi ten turnus, póki nie znajdzie się stosowne zastępstwo.

Po krótkich poszukiwaniach Peter zaproponował T.J., by przejęła obowiązki ojca. Alice się sprzeciwiła. Ktoś tak młody, i w dodatku dziewczyna? Kto to widział, żeby kobieta sprawowała nadzór nad tymi terenami? Ale Peter się uparł. Stwierdził, że kiedyś znajdzie kogoś na jej miejsce.

Póki co im się nie udało. A przynajmniej nikt nie spotkał się z aprobatą Petera. Dlatego teraz T.J., jak niegdyś jej ojciec, pełniła obie funkcje: jesienią, zimą i wiosną była dozorcą Rezerwatu, a latem – dyrektorką obozu. Wciąż mieszkała w domku,

w którym dorastała, w którym mieścił się też gabinet dyrektorski oraz przez większą część roku dom rekonwalescencji dla Vica Hewitta.

Teraz T.J., stojąc na progu oranżerii, odchrząknęła. Wyglądała na skrępowaną i nieszczęśliwą, choć taki wyraz twarzy przybierała za każdym razem, gdy się tu zjawiała. Jej królestwem był las.

– Cześć, T.J. – przywitała ją Alice, a T.J. tylko skinęła głową, ale nie zwróciła się do niej bezpośrednio.

Od kiedy Alice ją знаła, T.J. nawet raz nie wypowiedziała jej imienia. Jej wyniosłość działała Alice na nerwy. Petera traktowała inaczej, pomyślała. Jemu okazywała respekt.

– Usiądź – zaproponowała Alice, a potem obserwowała, jak T.J. obraca się w kółko, szukając miejsca, na którym siadając, dałaby wyraz jak najmniejszemu zaangażowaniu i jak największemu pośpiechowi. W końcu wybrała puf. Usiadła na samej krawędzi. Z łokciami na kolanach. I ze spuszczoną głową.

Niedawno obcięła włosy na pazia, tak nierówno i nietwarzowo, że Alice podejrzewała, iż T.J. zrobiła to sama. Siedząca przed nią kobieta zdawała się nie mieć nic wspólnego z ruchliwą, nieodstępującą ojca na krok trzylatką, którą Alice poznała dwadzieścia trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy zawitała w te strony. Wtedy zwracano się do niej imieniem „Tessy Jo”, zbyt trzpiotowatym i nadającym się raczej dla lalki, krowy albo artystki estradowej niż dla dziecka o stoickim temperamentem. Jako szesnastolatka zaczęła używać androgynicznego skrótu T.J., ale jeszcze przez dekadę zaplatała włosy w ciasny warkocz. Aż do teraz.

– Jak się masz? – zapytała Alice.

Wzięła landrynekę z miski, regularnie napełnianej przez służbę. Różowe były najlepsze.

– W porządku – odparła T.J. z tym swoim akcentem.

Wciąż raził uszy Alice, choć mieszkała w tej okolicy już od ponad dwudziestu lat.

– U ojca wszystko w porządku?
– Obleci.
– Jakież problemy w ośrodku?
– Nie – odparła. Strzepnęła coś z karku. Przyjrzała się dłoni.
– Przejdę do rzeczy – powiedziała Alice. – Podejrzewam, że mój mąż już z tobą rozmawiał.

Zrobiła pauzę, czekając na odpowiedź T.J., bo nie wiedziała, czy Peter już się do niej zwrócił. Nie kontaktował się z Alice od czwartku, gdy wyjechał do Albany. Miała jedynie pewność, że Barbara wciąż jest w domu.

T.J. pokręciła głową. Nie.

Alice westchnęła. Oczywiście, pomyślała. Oczywiście, że tego nie zrobił. Co jak co, ale zawsze można było liczyć, że nie dotrzyma słowa, uchyli się od wszystkich obowiązków, będzie raz po raz zawodził ją – i Barbarę – a gdy napotkają jakieś trudności, będzie nieobecny w ich życiu. To oznaczało, że teraz – akurat, gdy Barbara urządzała swoje popisy – bywał w domu rzadko, często wyjeżdżał i z reguły wracał bez zapowiedzi.

T.J. odchyliła się i wyprostowała plecy.

– Cóż – powiedziała do niej Alice, siląc się na radosny, beztrojski ton. – W takim razie mam dla ciebie nowinę. Postanowiliśmy czy raczej Barbara postanowiła dołączyć w tym roku do obozowiczów. Uśmiechnęła się, jakby przekazywała dobrą wiadomość.

Wiedziała, że T.J. się to nie spodoba. Dlatego tak zwlekała z zawiadomieniem jej. Od pokoleń ostra granica oddzielała rodzinę Van Laarów – lubiących rozrywki na świeżym powietrzu, lecz statecznych bankierów z Albany – i należący do nich obóz, którym zawiadywali Hewittowie. Najpierw Vic. Potem jego córka. Poza tym T.J. lubiła działać w określony sposób i w określonym porządku. Alice podejrzewała, że zirytuje ją prośba o zmianę planów w ostatniej chwili.

Przez twarz T.J. przemknęło jednak coś, czego Alice nie potrafiła zidentyfikować. Konsternacja? Gniew? Dziewczyzna nie

chciała jej spojrzeć w oczy. Od kiedy weszła do pokoju, wpatrywała się w punkt nad prawym ramieniem Alice.

Teraz znów pokręciła głową.

– Przykro mi – odparła. – Nie da rady.

Alice wlepiła w nią wzrok.

W głosie T.J. Hewitt słychać było ogromną pewność siebie i stanowczość. Jakby miała w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, pomyślała Alice. Jakby to ona zatrudniała Alice, a nie na odwrót.

Alice nabrała powietrza do płuc. Miętówka w jej ustach już się rozpuściła. Wzięła drugą i rozgryzła ją, zanim odpowiedziała.

– To by dla nas wiele znaczyło – zaczęła. – Wiem, że z Barbarą łączy cię bliska więź. Z pewnością zauważyłaś, że ostatnio ma trudności. Odreagowuje. Uważamy, że towarzystwo nowych przyjaciół dobrze by jej zrobiło.

To znaczy Alice tak uważała. Peter nie był tego pewien. Jednak z wielu powodów wypuszczenie jej spod skrzydeł wydawało się sensowne. Lepiej, by nie byłoby jej w domu podczas przyjęcia. Pierwszego, które urządzali od czternastu lat. Żeby uczcić stulecie istnienia Rezerwatu, zaprosili dwadzieścioro kilkoro przyjaciół i krewnych, by spędzili tu tydzień w sierpniu. Gdy po raz ostatni podejmowali gości w Albany, Barbara tylko raz wyszła ze swojego pokoju. Miała na sobie coś, co wyglądało jak przebranie. Zafarbowała włosy na okropny kolor, a oczy obwiodła grubymi czarnymi kreskami. Garland, kuzyn Petera, parsknął śmiechem, a Barbara wróciła do siebie, trzaskając drzwiami. Od tamtej pory pomimo błagań Alice farbowała włosy na ten sam kolor i tak samo się malowała.

Tym razem nie mieliby takich zmartwień, gdyby tylko znaleźli dla Barbary miejsce na obozie.

T.J. wbiła wzrok w podłogę.

– Powiedziała jej pani? – zapytała.

– O obozie? – upewniła się Alice. – Sama o to poprosiła.

– Nie – odparła T.J. – O tym, co się stanie jesienią.

Alice milczała przez chwilę. Pokręciła głową.

- Powiem jej pod koniec lata. – Nagle poczuła przypływ inspiracji. – Jak skończy się turnus.
- Już się zaczął – przypomniała jej T.J. tym swoim tonem.
- Dopiero co.
- Domki są pełne.

W klatce piersiowej Alice powoli wzbierało niedowierzanie, ale coś ją dławiło i nie mogła dosięgnąć najgłębszych pokładów gniewu, który przychodził jej z pomocą, gdy tylko potrzebowała, by Peter jej wysłuchał.

Przypomniała sobie o pigułkach. Już wczepiły się w nią haczykami, rozplątywały węzły w jej ramionach, obmywały plecy i klatkę piersiową falami ulgi, wodospadem ciepła i spokoju. Skup się, upomniała samą siebie.

Przyjrzała się rozstawionym w pokoju przedmiotom. Tej sztuczki nauczył ją doktor Lewis. Zegar stojący. Dorodne rośliny. Kamienna posadzka oranżerii.

W końcu odezwała się, dokładnie wymawiając każde słowo. Język w jej ustach był jak gruby ślimak.

– Nikt nie zna Barbary tak dobrze jak ty – powiedziała. Nawet ja, mimowolnie dodała w myślach. – Wiesz, że dobrze jej to robi.

Ale T.J. już podnosiła się z miejsca, by wyjść z pokoju. Gdyby miała kapelusz, właśnie by go wkładała.

Całe lato, pomyślała Alice. Całe lato bez Barbary, jej napadów wściekłości, awantur, wielogodzinnych szlochów, które przeszkadzały służbie. Wszyscy musieli przez grzeczność udawać, że jej nie słyszą. Ale słyszał ją każdy, z Alice włącznie. Jakże byłoby przyjemnie mieć te miesiące tylko dla siebie, podczas gdy córka byłaby u stóp wzgórza, daleko, ale w bezpiecznym miejscu. Zajęta. Zadowolona.

– Powinnam wracać – oznajmiła T.J.

Alice się uśmiechnęła. Pigułki ją obezwładniły. Na usta cisnęły jej się słowa, których zazwyczaj nie wypuszczała przez zacisnięte zęby. Zachowywała się tak przez większość życia, wobec Petera, wobec wszystkich. Zazwyczaj wykazywała się ogromną powściągliwością.

Ale nie dziś.

– Tak naprawdę decyzja nie należy do ciebie – oznajmiła. – Będzie tak, jak powiedziałam.

– Bo co? – odparła ostro T.J.

Trochę za głośno, pomyślała Alice. Dlaczego wszyscy tak głośno mówią?

Pragnęła tylko ciszy.

Otworzyła usta. Nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk.

Minęła minuta, a może pięć minut. Alice czuła, że ogarnia ją senność. Wiedziała, że powinna się wstydzić pozycji, którą przybrała, przechylając głowę, ale do tej emocji też nie miała dostępu, wydawała jej się abstrakcyjna. Rozumiała ją na poziomie racjonalnym, ale nie była zdolna jej doświadczyć.

– To pomysł pana Van Laara – odpowiedziała w końcu. – Tego właśnie sobie życzę.

Chwytała się ostatniej deski ratunku. Wstyd jej było, że musi się do tego posuwać. Wstyd, że we własnym domu nie miała nic do powiedzenia.

T.J. na nią spojrzała, jakby zastanawiała się, czy Alice można wierzyć. Nagle na jej twarzy pojawiła się rezygnacja.

– Dobra – odparła. – Wstawimy dodatkowe łóżko do Jodły. Barbara może zacząć turnus od jutra.

Bez kolejnych pytań wyszła z pomieszczenia. A potem z domu. Gdyby był tu Miś...

Alice oprzytomniała. Nie wolno jej było puszczać wodzy fantazji, powiedział doktor Lewis. Gdy tylko umysł zaczynał dryfować, miała wrócić do rzeczywistości. Tyle że wizja narzuciła jej się przemocą: gdyby był tu Miś, odprowadziłby T.J. do drzwi. Zamknęła oczy, pozwalając sobie, by jedynie na moment przypomniał jej się syn, żywiołowy, uroczy, snujący się za T.J. Hewitt po całej posiadłości. „Tessie, Tessie”. Tak wyraźnie słyszała jego wysoki słodki głosik, dobiegający zza cienkiej zasłony oddzielającej ich światy. Bez trudu go wychwycała.

Wciąż siedząc na szezlongu, Alice spojrzała na przeszkloną ścianę oranżerii. T.J., oddalając się, przystanęła w trawie, wyciągnęła coś z kieszeni, podniosła dłoń do ust. Splunęła. Żuła tytoń jak facet. Obrzydliwy zwyczaj.

Alice wpatrywała się w plecy T.J. Hewitt, póki ta nie zniknęła w oddali. Przeszło jej przez myśl, że ta wysoka, szczupła i zgrabna dziewczyna mogłaby być atrakcyjna.

Na tym polegał grzech T.J., pomyślała. Oszpeciła się.

Do jej uszu dotarł odgłos kroków. Ociężałych, powolnych. To była Barbara.

Szła do kuchni. Ostatnio było to jej ulubione pomieszczenie. Alice się skrzywiła.

Wczoraj poprosiła nową kucharkę, której imienia nie mogła sobie przypomnieć, żeby przestała tak często karmić Barbarę. Żeby w razie czego wymyśliła jakąś wymówkę. Tylko że Barbara potrafiła manipulować ludźmi, o czym Alice doskonale wiedziała, dlatego nie pokładała wielkich nadziei w tym, że kucharka poradzi sobie z jej córką.

Ruszyła do kuchni i przystanęła w progu, starając się zachowywać cicho.

Oczywiście zastała tam Barbarę, która odwrócona tyłem do pomieszczenia przeglądała zawartość spiżarni. Miała na sobie szorty i T-shirt, a Alice z odrazą zauważyła, że jej nigdy płaskie pośladki zaokrągliły się, a nogi stały się nogami kobiety. Kucharka spojrzała na Alice za plecami Barbary. Bezradnie uniosła ręce.

Ocenianie ciała córki w ten sposób nie sprawiało Alice radości. Rozsądek podpowiadał jej, że to nieżycliwe, ale zarazem wierzyła, że obowiązek matki to być pierwszym i najlepszym krytykiem córki. Zahartować ją w dzieciństwie, by jako dorosła kobieta potrafiła z wdziękiem odeprzeć każdy atak i obelgę. Tę metodę stosowała wobec Alice jej matka. Wtedy miała do niej pretensje, ale teraz była wdzięczna.

– Barbaro – odezwała się w końcu, a córka poderwała się i odwróciła z bochenkiem chleba pod pachą.

Alice poczuła momentalny przyływ czułości. Jej córka była płochliwa, od kiedy zaczęła raczkować. Jako jedyne dziecko na świecie nie lubiła zabawy w akuku ani w chowanego i płakała, gdy ktoś ją przestraszył, nawet dla żartu.

– Kolacja będzie o wpół do ósmej – przypomniała jej Alice.

Barbara ułożyła bochenek na blacie i zaczęła kroić.

– Słyszysz, co mówię? – spytała Alice.

Barbara przytaknęła. Sięgnęła po masło. Posmarowała nim kromkę. Stała ze spuszczoną głową. Wzdłuż przedziałka widać było dwa centymetry jasnego koloru. Reszta jej matowych włosów wciąż miała okropną czarną barwę. Przynajmniej z twarzy była ładna. Tego nie mogła zmienić nawet najgorsza koloryzacja.

Kucharka patrzyła na nie bezradnie. Drobnej postury, około dwudziestu pięciu lat, mężatka, sądząc po skromnej obrączce na palcu.

Alice westchnęła. Tego dnia kontynuowanie rozmowy nie miało sensu. Tym bardziej że Barbara zamierzała spędzić lato gdzie indziej. Przecież nie stanie jej się krzywda, jeśli pozwoli sobie na dodatkową kromkę z masłem i dżemem.

– Właśnie rozmawiałam z T.J. – oznajmiła Alice, a Barbara wreszcie na nią spojrzała. W końcu zobaczyła tę wersję swojej córki, którą kochała. Jej twarz i oczy się ożywiły.

– No i? – zapytała.

– Powiedziała, że możesz do nich dołączyć od jutra.

Triumf. Barbara czym prędzej spuściła wzrok, lecz Alice zauważyła, że córka zaciska usta, powstrzymując uśmiech.

– Poproszę kogoś, żeby cię spakował – dodała.

Tak będzie lepiej, pomyślała. Dobrze im to zrobi. Odpoczną od siebie. A wtedy wszystko zacznie się lepiej układać.

TRACY

Czerwiec 1975

To, jak dowiedziała się Tracy, był Camp Emerson.

Jego północną granicę stanowiły trzy budynki, stojące najbliżej domu na wzgórzu. W jednym mieściła się stołówka, w której podawano posiłki. W sąsiednim, tak zwanym głównym ośrodku, znajdował się gabinet pielęgniarski, dwie salki, w których odbywały się zajęcia w deszczowe dni, i duża świetlica, gdzie organizowano dyskoteki i występy wymagające sceny. Trzecim budynkiem w tym skupisku był domek dyrekcji. Okazję, by obejrzeć go od środka, mieli tylko ci, którzy wpakowali się w jakieś tarapaty.

Na południe od tych zabudowań rozciągał się teren obozu. Na wschodzie odgraniczała go plaża nad jeziorem z hangarem na łódki. Południowego krańca strzegł długi budynek z kwaterami dla personelu. Tam nocowała obsługa kuchni i pracownicy sezonowi. Na północ od niego stało czternaście domków – siedem dla chłopców, siedem dla dziewcząt – w dwóch rzędach wzdłuż przeciwnych brzegów strumienia, gdzieśgdzie poprzecinanego mostkami. Każdy z nich nazwano na cześć jakiegoś drzewa lub kwiatu z gór Adirondack.

Wnętrze domku Jodła, do którego przydzielono Tracy, gołe żarówki zwisające z sufitu wypełniały ciepłym żółtawym światłem. Nocą wabiły chmurę owadów, wlatujących przez podziurawione moskitiery okienne.

W domku stało osiem łóżek piętrowych, cztery po każdej stronie. Przed nimi znajdowały się niewielkie drewniane skrzynie. Na ścianach i suficie z surowych desek widniały imiona, daty i gryzmoły, zostawione przez kolejne pokolenia obozowiczów.

Zaskoczył ją widok kominka na jednej ze ścian. Nieco później Tracy dowiedziała się, że w domkach zatrzymywali się niegdyś goście Van Laarów, przez cały rok przyjeżdżający tu na krótkie polowania. Jednak od kiedy powstał Camp Emerson, z kominików nie korzystał nikt poza nietoperzami, które czasem trzeba było stamtąd przенosić.

Pierwszego dnia, gdy matki – i Donna Romano – już sobie pojechały, wychowawczynie i stażystka usadziły obozowiczów w kole, by rozpocząć ćwiczenia integracyjne.

W ich trakcie Tracy zorientowała się, że pozostałe dziewczyny z jej domku znają się od lat. Przerzucały się tekstami i gestami jak piłką, czasem pokładając się ze śmiechu z niezrozumiałego dla Tracy powodu. Insajderskie żarty, pomyślała ze zgrozą, bo określenie to oznaczało, że ten, kto ich nie rozumiał, był z definicji autsajderem.

Podczas tych ćwiczeń zauważyła coś jeszcze. Wśród lokatek jej domku obowiązywała ścisła hierarchia. Szczyt zajmowały oczywiście Louise i Annabel, wychowawczynie i stażystka. Każda na swój sposób piękna. Dwudziestotrzyletnia Louise była już kobietą. Niewysoka, dużo niższa od Tracy, miała długie ciemne włosy, ciemne brwi i wysportowaną sylwetkę. Miała czym oddychać. Określenie to Tracy poznała dopiero w tym roku. Od wysokiej i gibkiej Annabel, siedemnastoletniej baletnicy o jasnej cerze, biła taka pewność siebie, jakby dziewczyna pochodziła

z rodziny, która nigdy nie musiała martwić się, czy wystarczy jej na opłacenie rachunków. Tracy natychmiast je pokochała. Naszło ją osobliwe pragnienie, by je zmniejszyć, wynieść na zewnątrz i bawić się nimi jak lalkami.

Następne w kolejce były obozowiczki o rozmaitym statusie, od dwóch dziewczyn o imieniu Melissa – rządzących niepodzielnie żylastych blond gimnastyczek z Upper East Side na Manhattanie – po Kim, która miała w zwyczaju bez końca rozprawiać na tematy nieobchodzące nikogo poza nią.

Na szarym końcu była Tracy, przekonana, że z powodu swojego wzrostu przyciąga spojrzenia pozostałych. Poproszona o przedstawienie się, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Powoli ogarnęła ją rezygnacja. Tak miało wyglądać całe lato. Postanowiła zamknąć się w sobie. Do nikogo się nie odzywać. Nie zwracać na siebie uwagi i gdy tylko będzie się dało, zasłaniać się książką. Nie mieszać się w nie swoje sprawy. Wtopić się w tłum.

Wypakowała ostatnie rzeczy. Z kosmetyczki wyjęła nowe, przepisane jej w tym roku okulary. Ukryła je w głębi jedynej przydzielonej jej szuflady. Pomyślała, że lepiej tego lata nie widzieć niczego zbyt wyraźnie.

Gwałtownie zamrugła. Łzy w tym momencie wywołałyby katastrofę. Ale za bardzo przytłaczało ją rozgoryczenie tym wszystkim. W głębi duszy miała nadzieję, że choć po wielu latach podobnych rozczarowań znała swoje miejsce w hierarchii społecznej, tym razem będzie inaczej. Że ktoś uroczy i smukły, chłopak albo dziewczyna, wykaże się taką cierpliwością i przenikliwością, że wypatrzy Tracy w tłumie i dostrzeże jedną z jej pozytywnych cech, które rzadko pozwalała sobie wyliczać: poczucie humoru, zdolności plastyczne, ładny głos, lojalność i przywiązanie do każdego, kto okaże jej choćby odrobinę zainteresowania.

Poprawiając niedopasowaną koszulę od mundurka i równie niedopasowane szorty, Tracy z głębokim westchnieniem pożegnała się z resztką nadziei na piękne wakacje.

Podczas powitalnego ogniska oglądała serię występów wokalnych i rytuałów w prowizorycznym amfiteatrze na nieporośniętym trawą skrawku ziemi u stóp wzgórza. Funkcje ławek pełniły duże przepołowione pniaki, ustawione na zboczu tak, że między nimi biegła alejka. W oddali widać było ciemną taflę jeziora.

W powietrzu czuło się dziwną energię: nastoletnie hormony, ukradkowe spojrzenia i uwagi na temat tego, kto i jak zmienił się przez ostatni rok. Byli tam nie tylko obozowicze, ale również wychowawcy. Wszyscy przysuwali się do siebie, szeptali sobie na ucho i wykonywali gesty, których Tracy nie rozumiała. Później dowiedziała się, że każda z opiekujących się nimi osób to na swój sposób gwiazda. Obozowicze ze śmiertelną powagą gromadzili informacje o nich, ich życiu domowym, podbojach i porażkach uczuciowych. Następnie faktami tymi wymieniano się szeptem w ciemności.

W dole trwały występy. Kilkoro wychowawców przeprowadziło rytuał, którego częścią było rąbanie drewna. Przekazano informacje o nowych regułach, obiektach i imprezach.

Potem zaczęły się skecze. Jeden z nich – scenka ilustrująca regułę, która wcześniej zrobiła takie wrażenie na Tracy – polegał na tym, że wysoki wychowawca przybrał dziecięcy ton i postawę dziecka i zdeorientowany chodził wokół ogniska.

– Wydawało mi się, że wiem, dokąd idę – powiedział, modulując głos. – Ale się zgubiłem!

Jedna z wychowawczyń zwróciła się do widowni.

– Co powinien zrobić Calvin? – zapytała z udawaną powagą, kładąc dłonie na policzkach.

– Gdy się zgubisz – zawołał tłum chórem – usiądź i krzycz.

– Na pomoc! – zawołał Calvin. – Potrzebuję pomocy! – Udawał, że zerka na zegarek. – Minęła minuta – dodał – więc chyba powinienem krzyknąć jeszcze raz!

Podano uzasadnienie tej reguły. Próba wyjścia z lasu mogła prowadzić do dezorientacji, przez co nawet doświadczony leśnik

mógłby bezpowrotnie zaginać w ostępach Adirondack. Na tym gęsto porośniętym terenie z bujnym podszytem poza szlakiem łatwo było zgubić drogę.

– Sześćdziesiąt pięć procent osób – oznajmił Calvin – traci orientację, gdy oddali się od szlaku o dziesięć metrów.

Tracy słuchała zafascynowana. Wyobraziła sobie przyciąganie lasu, jego chłodny, cienisty zapach, aksamitny mech na kamieniu i narastającą świadomość, że zgubiła drogę. Stopniową akceptację, że znalazła się w fatalnym położeniu.

Między skeczami wychowawcy wszczynali bójki na niby między sobą i ze swoimi podopiecznymi. Zaczepiali dziewczyny z drugiego końca półkola. „Kevin mówi, że niezła z ciebie laska!”

Nagle uwagę wszystkich przykuła wysoka szczupła kobieta. Stała przed ogniskiem, a jej sylwetka na tle płomieni przywiodła Tracy na myśl Ichaboda Crane’a z *Legandy o sennej kotlinie*.

Wszyscy umilkli.

– Witajcie – powiedziała.

Przedstawiła się jako dyrektorka obozu, T.J. Wszyscy mogli się do niej zwracać po imieniu.

Trudno było odgadnąć, ile ma lat. Pod pewnym kątem wyglądała bardzo młodo, może na dwadzieścia lat. Jednak w jej szorstkim głosie pobrzmiewał władczy ton, którego Tracy zazwyczaj nie słyszała u kobiet w tym wieku. Umilkli wszyscy, nawet ci wychowawcy, którym wcześniej nie zamykały się usta.

T.J. wyjęła kartkę, na której zapisała sobie wszystkie ważne informacje.

Przekazała je jedną po drugiej.

Przypomniała i obszernie omówiła zakomunikowane już wcześniej reguły. Dorzuciła do nich kilka nowych. Każdy złapany poza swoim domkiem po ogłoszeniu ciszy nocnej miał otrzymać ostrzeżenie i karny dyżur w stołówce przez dwa wieczory. Za drugie wykroczenie groziło wydalenie z obozu.

T.J. zrobiła pauzę i podniosła wzrok.

Ogień rzucał pomarańczową poświatę na gałęzie sosny nad jej głową. Wyżej, na czarnym niebie, jakiego Tracy nigdy nie widziała, migotały gwiazdy.

– I jeszcze jedno – kontynuowała T.J. – Ze względu na obawy niektórych rodziców tegoroczna wyprawa survivalowa będzie wyglądała nieco inaczej.

Rozległo się gremialne jęknięcie.

T.J. uniosła rękę.

– Posłuchajcie – powiedziała. – Jak poprzednio będziecie poruszać się w grupkach bez opiekunów. Sami będziecie musieli się o siebie zatroszczyć. Jedyna różnica polega na tym, że przez te trzy dni wasi wychowawcy będą niedaleko, jakieś sto metrów od was. Zainterweniują tylko wtedy, gdy nie będziecie sobie mogli sami poradzić.

Zapadła cisza. Nagle któryś z mężczyzn głośno zabuczał. Reszta ryknęła śmiechem.

Tracy z zartym tchem czekała, co zrobi T.J. Nie wyglądała na kogoś, kto ma cierpliwość do idiotów. Ona tymczasem się uśmiechnęła.

– Mnie też się to nie podoba – powiedziała. – Uwiercie mi.

Tego wieczoru, gdy zgasły światła, Tracy leżała w łóżku wpa-trzona w ciemność, wsłuchując się najpierw w ciszę, a potem w ściszone głosy, które wśród śmiechów opowiadały historie.

Była sama. I tak miało zostać. Powiedziała sobie, że jej jedyne zadanie polega na tym, by przetrwać lato.

LOUISE

Czerwiec 1975

Louise, wstrzymując oddech, nasłuchiwała w ciemności. Zza przegrody dobiegało ciche pochlipywanie. Ktoś próbował ukryć, że płacze. Powtarzało się to pierwszej nocy każdego turnusu.

Usiadła na łóżku. Na palcach minęła Annabel. Odsunęła zasłonę. Potoczyła wzrokiem po sali, przyglądając się każdej obozowicze.

Tracy.

To jej oczy lśniły w blasku księżyca, odwzajemniając spojrzenie Louise.

Na zewnątrz, na schodkach prowadzących na ganek, Tracy siedziała teraz skulona obok Louise. Przykryła kolana szlafrokiem i objęła je. Wyglądała jak przerośnięta sześciolatka.

Znów pociągnęła nosem.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytała Louise.

To standardowe zagajenie, wypróbowane przez cztery sezony wakacyjne, nie pozwalało udawać, że wszystko gra.

Dziewczyna, wyraźnie zażenowana, wzruszyła ramionami.

Podczas kolacji i ogniska siedziała na uboczu i nie odezwała się nawet słowem. Miała spuszczoną głowę. Po powrocie do domku zajęła się czytaniem książki, podczas gdy pozostałe dziewczyny rozmawiały, piszczwały i goniły w kółko, odbijając się od ścian jak elektrony. Dwunasto- i trzynastolatki wykazują się jedynym w swoim rodzaju poczuciem humoru, szczególnie gdy w pobliżu nie ma chłopców. Ich żarty są zarazem wulgarne i niewinne, sprośne i naiwne. Bawiły Louise, gdy nie wynikały ze złych intencji i nie były przeciwko nikomu wymierzone. Stojąc pod ścianą, obserwowała je w milczeniu, z rozrzwinięciem wspominając ten moment w życiu, który jest jak oddech przed przemówieniem, ostatnia rozkoszna pauza, zanim odsłoni się coś ważnego.

– Ktoś ci dokuczał? – zapytała łagodnie. – Martwisz się czymś?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Przestraszyłam się – odparła.

Niemal niezauważalnie przysunęła się do Louise, która wyciągnęła rękę i objęła ją.

– Czego? – zapytała Louise.

– Opowiadałyśmy sobie historie – powiedziała Tracy.

Jej słowa zabrzmiały tak smutno. My, pomyślała Louise. Nie on e. Niewydarzona próba integracji z grupą.

– O czym?

Dziewczyna milczała. W blasku księżyca Louise widziała tylko zarys jej twarzy.

W końcu odezwała się tak cicho, że Louise ledwie ją usłyszała. Musiała się do niej nachylić.

– O Szlachterze – wyszeptała Tracy, rozglądając się w półochu.

Bała się, że ktoś ją usłyszy.

Oczywiście, że chodziło o Szlachtera.

Louise niemal uśmiechnęła się z ulgą. To jego dotyczyła jedna z kilku historii przekazywanych przez obozowiczów z pokolenia

na pokolenie, czasem w żartach, czasem jako ostrzeżenie. Trudno było stwierdzić, na ile w nie wierzą. Niektórzy opowiadali je z uśmiechem, tylko po to, by kogoś przestraszyć. Innym drżał głos, jakby pozbywali się ciężącego im brzemienia potwornej wiedzy. T.J. poruszyła nawet ten problem podczas tegorocznego szkolenia. Najmłodszy, powiedziała, bardzo się boją. Proszę, ukręćmy łeb opowieściom o duchach.

Wiele postaci pasowało do tej kategorii. Stary Jones, duch przewodnika po górach Adirondack, stukał nocą w okna domków. Straszna Mary była podobno porzuconą żoną przodka Van Laarów sprzed kilku pokoleń.

Ale Szlachter, które pełne nazwisko brzmiało Jacob Sluiter, nie był duchem. Podobno wciąż żył. I każdego roku nawiedzał wyobraznie obozowiczów. Spośród wszystkich historii, które Louise tu zasłyszała, pogłoski o jego związkach z Rezerwatem Van Laarów powtarzały się najczęściej.

– Nie masz się czego obawiać – odezwała się uspokajająco. – Siedzi w więzieniu. Trzysta kilometrów stąd.

Ale Tracy pokręciła głową.

– Nieprawda – odparła. – Uciekł.

– Nie wydaje mi się – obstawała przy swoim Louise.

– Uciekł – powtórzyła Tracy. – T.J. tak powiedziała jednemu wychowawcy ze Świerka. On powiedział stażystce, a ona Caroline.

Louise milczała, bo trudno było jej w to uwierzyć. Przede wszystkim, gdyby informacja ta była prawdziwa, T.J. przekazałaby ją w pierwszej kolejności Louise. Bo niby jak inaczej? Chyba że nie miała jeszcze okazji.

Uśmiechnęła się do Tracy.

– Nawet gdyby była to prawda – powiedziała – musiałby przebyć długą drogę, nim dotarłby tutaj. Nie sądzę, by miał ku temu powód.

– Słyszałam opowieści dziewczyn – odparła Tracy, mocniej obejmując kolana.

– Krążą od bardzo dawna – wyjaśniła Louise. – To jeszcze nie oznacza, że są prawdziwe.

Tracy jej nie słuchała. Kręciła głową, nie dając za wygraną.

– Rozmawiały o tym chłopcu – wyszeptwała.

Louise zamilkła.

Wiedziała, o kogo chodzi. Nie musiała usłyszeć jego imienia.

LOUISE

Dwa miesiące później
Sierpień 1975

Louise biegnie.

W większość dni takie ułożenie ciała – miarowy ruch nóg i rąk, wysoko uniesiona głowa – wydaje jej się prawidłowe. To jej naturalny stan. Codzienny jogging po terenie Rezerwatu to jedyny w jej życiu moment całkowitej swobody, gdy zmartwienia na chwilę ją opuszczają. W liceum była sprinterką, ale woli długie dystanse. Gdy biegnie, własne ciało wydaje jej się matką mózgu. W każdym razie tak powinna zachowywać się matka. Takie są matki innych ludzi.

Dziś jednak biegnie jej się inaczej.

Panicznie, nieprzytomnie. Potyka się. Poprawia postawę. Ignoruje wychowawcę, który woła do niej z oddali.

– Dobra, goń się! – mówi dobrodusznie, niczego nieświadomy.

Louise nie ogląda się na niego.

Szukała już Barbary w latrynach, stołówce, świetlicy i na plaży. Zajrzała do gabinetu pielęgniarki i hangaru na łodzi. Poszła do domu na wzgórzu, gdzie życzliwa pokojówka przez dziesięć minut przemierzała korytarze, podczas gdy Louise

czekała na zewnątrz. Ale Barbary nigdzie nie było i nikt nie widział jej tego ranka.

Idzie do domku dykcji i tłucze w drzwi. Po trzydziestu sekundach robi to ponownie.

T.J. na pewno jest u siebie. Zawsze trzyma się ustalonych schematów, więc jej poranki wyglądają tak samo. O wpół do siódmej nadaje sygnał pobudki przez radiowęzeł, dając obozowiczom znak, że czas wstać i iść pod prysznic. Pięc po ósmej idzie do stołówki, by załapać się na końcówkę śniadania i sprawdzić gotowość zespołu.

Louise zerka na zegarek. Jest szósta czterdzieści. Za dwadzieścia minut obozowicze przyjdą do stołówki na śniadanie.

Wciąż cisza. Chwyta za klamkę. Naciska na nią. W Camp Emerson zamki są tylko w kabinach prysznicowych. Mimo to czuje się nieswojo, wchodząc do domku dykcji (w którym T.J. dorastała i mieszka przez okrągły rok) bez zaproszenia, choć wie, że z T.J. wiąże ją inna relacja niż z pozostałymi wychowawcami. Łączy je przeszłość, którą Louise ukrywa przed wszystkimi na terenie obozu.

W końcu otwiera drzwi na oścież. Nie ma innego wyjścia.

– Jest tu kto? – woła.

Wchodzi do wyłożonego boazerią salonu, który pełni zarazem funkcję gabinetu. Pod oknem stoi biurko. Dwa małe krzesła po drugiej stronie czekają na obozowiczów, którzy czują potrzebę porozmawiania.

Louis spędziła w tym pokoju wiele godzin. Raz nawet zimny styczeńowy tydzień.

Nasłuchuje. W domu unosi się zapach T.J. Woń domowej roboty odstraszacza na meszki z kamfory i smoły oraz nuta śnieży i potu.

W głębi domku słychać wodę płynącą z prysznicza.

Louise ociera dłonią pot z czoła i górnej wargi. Nie wie, co powinna zrobić. Czekanie, aż T.J. skończy prysznic, wydaje jej się nie na miejscu. Postąpiłaby równie niewłaściwie, gdyby chwyciła

za telefon i zaczęła wypytywać wszystkich bez konsultacji z dyrektorką obozu. Zresztą gdzie miałyby zadzwonić? Na policję? Do ochotniczej straży pożarnej? Czy może do samych Van Laarów? Jedyne telefon na terenie obozu stoi na biurku T.J., na drugim końcu pokoju. W pobliżu jest jeszcze tylko aparat w głównym domu, zwanym Przystanią Samodzielności.

Louise na palcach przechodzi korytarzem pod drzwi łazienki. Są otwarte. Na podłodze leży sterta ubrań T.J.

Louise przystaje w progu. Powinna zawołać głośniejsze?

Za późno. Rozlega się trzeszczenie zakręcanego kurka. Woda przestaje płynąć. Nagle zza zasłonki wychodzi T.J. z krótkimi mokrymi włosami, szczipła, z małymi piersiami i rolniczą opalenizną, którą eksponuje przez całe lato.

Louise odwraca się na pięcie, ale jest za późno. Już skrzyżowały spojrzenia.

– Przepraszam – mówi Louise, a T.J. w tym samym momencie wydaje okrzyk przerażenia.

– C h o l e r a, Louise – odzywa się, gdy wraca jej oddech.

– Przepraszam – powtarza Louise raz po raz. Mówi to w kółko, wycofując się korytarzem.

Słyszysz, że za jej plecami T.J. otwiera szuflady.

– Co tu robisz? – woła T.J.

Louise odchrząkuje.

– Chodzi o Barbarę Van Laar – mówi.

– Co się stało?

– Rano nie było jej w łóżku.

Cisza zdaje się trwać całą minutę.

Potem rozlegają się kroki T.J. w korytarzu. Wchodzi do gabinetu ubrana.

– A dziewczyna, która śpi nad nią, nie widziała, jak Barbara wychodzi?

– Twierdzi, że niczego nie słyszała. Spała.

Louise wie, że prawdopodobnie T.J. pociągnie ją do odpowiedzialności. Zadaniem wychowawczyni jest słyszeć wszystko:

okrutne słowa wypowiedane przez jednego obozowicza do drugiego, grzmot w oddali, po którym dzieciaki muszą wyjść z jeziora.

A przede wszystkim siatkowe drzwi, gdy otwierają się nocą.

Louise czeka, aż T.J. coś powie. Cokolwiek. W końcu się odzywa:

– Ale byłeś w domku zeszłej nocy? Razem z Annabel, prawda?

Louise waha się tylko przez moment potrzebny na nabranie powietrza do płuc. Spodziewała się tego pytania. Jest przygotowana.

– Tak – odpowiada zdecydowanie.

– Jesteś pewna? – pyta T.J. – Byłyście tam obie?

– Obie – potwierdza Louise.

Umie kłamać, gdy trzeba, ale z reguły tego nie robi. Zdarzało się, że nie miała innego wyjścia. Żeby przetrwać. Ale nigdy nie czuje się z tym dobrze, szczególnie gdy wciska kit komuś, kogo szanuje. Komuś takiemu jak T.J. Hewitt, której wielokrotnie opowiadała o sprawach, z których nie zwierzyła się nikomu innemu. Kiedy teraz ją okłamuje, zaciska jej się żołądek.

Jeśli nawet T.J. jej nie dowierza, nie daje tego po sobie poznać. Odwraca wzrok i spogląda na stację radiowęzła, zajmującą miejsce na biurku i pod nim.

Przechodzi przez pokój. Podnosi mikrofon. Włącza urządzenie.

– Do wszystkich domków – mówi. – Wychowawcy zgłoszą się do gabinetu dykcji. Ich obowiązki przejmą dziś rano stażyści.

Wyłącza stację i na chwilę odwraca się do Louise. Nie patrząc na nią, pyta:

– Widziałas się z nim w tym tygodniu?

Chodzi jej o Johna Paula. Louise nie musi się upewniać.

Po raz drugi tego ranka okłamuje T.J.

– Nie.